Rocznik I. Kraków 15-go lutego 1909. Nr. 2.

ŚWIATŁO

czasopismo powieściowe i popularno-naukowe
wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi:
w AUSTRYI na **rok: 4** korony — **półrocznie: 2** korony. —
Do NIEMIEC na rok: **4** kor. **50** hal. — Do AMERYKI na rok: **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Dobroczyńca ludzkości.

Młodość Mathewa i jego pierwsza działalność.

Teobald Mathew urodził się 10-go października 1790 roku w mieście Thomastown w zachodniej Irlandyi. Rodzice jego, których Bóg obdarzył 12 dzieci (Teobald był czwartym z rzędu), należeli do najzamożniejszych, ale też najwięcej dobroczynnych ludzi w całym kraju.

Wcześnie już poznał Teobald bezdenną nędzę swoich nieszczęśliwych ziomków. Codziennie widział straszne ubóstwo na ulicach miasteczka, a zwłaszcza u siebie w rodzicielskim domu, który dla ubogich od rana do wieczora stał otworem. Tam to płynęli w wielkiej liczbie biedacy i nędzarze, ażeby z rąk chłopca otrzymać jałmużnę. Wkrótce też zasłynął Teobald jako wielki przyjaciel biednych i potrzebujących pomocy.

Pewnego razu dobra jego matka rzekła: «Dziewięciu synów dał mi Pan Bóg, zdrowych i silnych, ale żaden z nich nie będzie może księdzem». Gdy to usłyszał mały Teobald — podskoczył z radości do góry, rzucił się matce na szyję i zawołał: «Ja chcę matko! chcę być księdzem!» Teobald chciał więc dobrowolnie zostać kapłanem i musiał

uczyć się, ażeby osiągnąć ten wysoki cel. Mając zaledwie lat dwanaście, udał się do miasta Kilkenny, gdzie odbył nauki przygotowawcze, w roku zaś 1807 wstąpił do kollegium w Maynooth, ażeby słuchać tam nauk filozoficznych. Lecz oto on, który jako chłopiec poznał całą nędzę irlandzkiego ludu, jak niemniej i to, że nędzę tę sprowadził narodowy nałóg Irlandyi, to jest pijaństwo — sam jako student oddał się temu występkowi. Gdy zaś pewnego razu znaleziono w jego łóżku flaszkę z wódką, wydalono go ze szkoły. Z powodu tego wydalenia wszedł Teobald w siebie i postanowił wstąpić do zakonu OO. Kapucynów.

Pierwszy klasztor kapucyński w Irlandyi został założony w roku 1624 w stolicy kraju, Dublinie. Gdy następnie powstało w kraju kilka jeszcze klasztorów — wówczas urządzono w roku 1733 samodzielną prowincyę zakonną Ale jak wszystko, co tylko było katolickie w Irlandyi — tak też i ta prowincya upadła. W początkach zaś XIX. wieku wskutek srogich prześladowań prowincya kapucyńska prawie zupełnie wymarła.

W klasztorze w Kilkenny żyli jeszcze dwaj sędziwi księża Kapucyni, którzy cieszyli się wielkiem znaczeniem wśród mieszkańców z powodu wzorowego swego życia. Teobald znał tych ludzi jeszcze z czasów swojego pobytu w Kilkenny. To też po opuszczeniu miasta Maynooth udał się do nich, chcąc się do nich przyłączyć. Ci odesłali go do przełożonego żyjących jeszcze w Irlandyi Kapucynów w Dublinie; przełożony przyjął Teobalda do zakonu. Po ukończeniu nowicyatu został w roku 1814 wyświęcony na księdza przez Biskupa Murraya w Dublinie. Matka Teobalda — na pamiątkę pierwszej Mszy świętej — darowała swojemu synowi złoty kielich, którego Teobald przez całe życie używał przy świętej Ofierze.

Wkrótce po otrzymaniu święceń przeniesiono ks. Teobalda do Kilkenny, gdzie był nadzwyczajnie czynny w duszpasterstwie. Kazania jego były proste, jasne i wolne od wszelkich «uczonych» niezrozumiałości; to też każdy chętnie słuchał jego kazań. Był też bardzo gorliwym spowiednikiem. O każdej godzinie, czy to rano, czy też późnym wieczorem, można go było znaleźć w konfesyonale. Przylgnęli do niego najpierw ubodzy; później zwrócił też uwagę

i wyższych stanów, tak że wkrótce wszyscy szukali u niego porady i pociechy religijnej.

Pomimo, albo raczej z powodu właśnie wielkiej gorliwości, oskarżono O. Teobalda przed Biskupem. Działała tu w pierwszym rzędzie zazdrość ludzka, która chciała powszechnie cenionego kapłana widzieć poniżonym i ubezwładnić jego ruchliwość. Tak to zazwyczaj dzieje się na tym świecie. Wielcy ludzie muszą cierpieć i narażać się na napaści ze strony osób, od których najmniej można się tego spodziewać.

Biskupowi w Kilkenny doniesiono, że O. Teobald — wbrew zakazowi, obowiązującemu w dyecezyi — dopuszcza wiernych w czasie wielkanocnym do Komunii świętej w kościele kapucyńskim. Czy tak było w istocie — trudno udowodnić. Ale Biskup zakazał mu jakiejkolwiek czynności w konfesyonale, nie pozwalając mu nawet wytłómaczyć się z rzekomego przewinienia. Gdy go zawiadomiono o tym wyroku biskupim — O. Teobald siedział właśnie w konfesyonale. Podniósł się natychmiast i wezwał wiernych, ażeby udali się do innych konfesyonałów, ponieważ on nie ma więcej prawa spowiadania. Biskup otrzymał niebawem lepsze informacye i starał się zło naprawić. O. Teobald atoli, posłuszny zarządzeniu swego przełożonego, podążył zaraz do miasta Cork i tam się osiedlił.

W Cork, kwitnącem mieście portowem, znalazł się O. Teobald we właściwym dla siebie żywiole. Podobnie, jak w Kilkenny, stał się wkrótce najulubieńszym spowiednikiem, a jego konfesyonał był ustawicznie w oblężeniu. W kazaniach swoich zwracał się często do ludzi bogatych, zachęcał ich do niesienia pomocy biedakom i osięgał nadspodziewane wyniki. Z jałmużny, która hojnie płynęła przez jego ręce, nie zatrzymywał nic dla siebie; dawać — to było rozkoszą dla niego. «Gdyby ulice Corku» — mówił pewnego dnia kościelny klasztoru kapucyńskiego do pewnego dobroczyńcy — «były wybrukowane złotem i gdyby O. Teobald mógł według swej woli tem rozporządzać, to po upływie jednego roku z pewnością w całem Cork nie byłoby bruku».

Ponieważ w Cork nie było dobrych szkół dla dzieci robotników portowych i marynarzy — starał się O. Teo-

bald zaradzić temu brakowi. Przy pomocy ofiarności publicznej założył tam kilka nowych szkół, które miały szczepić naukę w sercach opuszczonej i biednej dziatwy.

W Cork panował szczególny i brzydki zwyczaj, że zwłok zmarłych biedaków nie chowano w poszczególnych grobach, lecz grzebano je we wspólnych mogiłach. Zwyczaj ten boleśnie kaleczył serce naszego przyjaciela biednych. I dlatego nabył wielką przestrzeń gruntu, przeznaczył ją na cmentarz dla swoich «dzieci», jak zwykł nazywać biednych, w środku cmentarza kazał postawić wspaniały krzyż i u stóp tego krzyża kazał wykopać swój własny grób, jako miejsce swego przyszłego wiecznego spoczynku.

W czasie strasznej cholery, która w roku 1832 nawiedziła Irlandyę, był O. Teobald prawdziwym aniołem opiekuńczym dla biednej ludności. Ustawicznie przebiegał ulice miasta i był widziany we wszystkich domach, gdzie troszczył się o ciało i duszę chorych i umierających.

To też nic dziwnego, że zwłaszcza biedacy darzyli O. Teobalda coraz to większem uznaniem i zaufaniem. «Warto było widzieć» — pisze jeden ze współcześnie z nim żyjących ludzi — «jak przyjmowano O. Teobalda na ulicach Corku. Każdy go znał, a przedewszystkiem biedni. Mężczyźni zdejmowali kapelusze i ustępowali mu z drogi, kobiety patrzyły nań, jak na wysłannika Bożego. Wszyscy błogosławili go i czcili».

O. Mathew, jako apostoł wstrzemięźliwości w Irlandyi.

O. Mathewa czekało jeszcze szersze pole działania. Był on mianowicie powołany do tego, ażeby wypowiedzieć wojnę owej strasznej zmorze pijaństwa, które stało się nieodłączną właściwością narodu irlandzkiego. Irlandczyk, pozbawiony wyższego wykształcenia za sprawą fałszywej polityki Anglii i zagrzebany w domowej nędzy, starał się w pijaństwie zatopić pustkę swojego życia. Wszystkie stany stały się niewolnikami tego nałogu, któremu hołdowała także i szlachta.

Według przekonania prostego ludu pijaństwo uchodziło w Irlandyi nietylko za zasługę, ale nawet za obowią-

zek. Irlandzkie pieśni ludowe wielbiły whisky (wódkę), tudzież Papieża i sobór trydencki, który zalecał powściągliwość w jedzeniu w czasie postów, a nie w piciu. Po miastach i wioskach co drugi dom był szynkiem; pogrzeby, uroczystości kościelne, dawały sposobność do największych wykroczeń. O. Mathew widział z blizka wszystkie skutki, które sprowadziło używanie gorących napojów wśród irlandzkiej ludności.

Po niezliczone razy występował w swoich kazaniach przeciw pijaństwu. Nałóg ten tak głęboko się zakorzenił, że najusilniejsze nawoływania z ambony nie wydawały prawie żadnego owocu. Krwawiło się z tego powodu serce naszego dobroczyńcy, który w gorących modłach tak długo skarżył się przed Bogiem, aż Ten ulitował się i wskazał pewną drogę.

Kilku mieszkańców miasta Cork, należących do sekty Kwakrów, próbowało już dawniej założyć towarzystwo wstrzemięźliwości, ale daremnie. Jeden z nich, William Martin, był razem z O. Mathewem, dyrektorem domu dla biednych, i stąd znał dobrze O. Mathewa, a nawet zaprzyjaźnił się z nim. Martin zwierzył się przed ks. Mathewem z daremnych starań sekty Kwakrów i prosił go gorąco, ażeby na nowo podjął dzieło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BAJKA.

Raz szatan ciężko zachorował
I myślał, że śmierć tuż za nim!
Więc z strachu za złość swą żałował
I chciał ją płaczem obmyć swym!
Lecz gdy wyleczył się, wygoił,
I cieszył się znów zdrowia stanem,
Wtedy jak przedtem grzeszył, broił,
I dawnym znowu był — szatanem.

(Przełożył z niemieckiego X. Józef Janiszewski z Seretu)

POPIEL I PIAST.

Powieść historyczna z IX. wieku.

(Ciąg dalszy),

Zaczynało się już zciemniać, gdy usłyszano dobijanie się do bramy. Kneź zbliżył się do okna i nasłuchiwał. Jakiś niepokój nim miotał. Nie mógł wytrzymać, wybiegł na podworzec. Usłyszał głośne wołanie: Otwieraj! od knezia Jaksy.

Sam huknął na straż:

— A żywo, puszczaj go tu do mnie.

Po chwili, na spienionym koniu, wpadł chłop mały a krępy, zeskoczył na ziemię i wprost zmierzał do dworu. Ryś ledwo mógł zdążyć za nim.

Kneź patrzał palącym wzrokiem na idącego, rękami poruszał niecierpliwie.

— Od stryja naszego? — zapytał.

Kmieć schylił się aż do kolan.

— Tak miłościwy panie.

— Z czem, gadajże?

— W nadodrzańskiej dzielnicy ogień i mord Germany wpadli znowu — mówił bez oddechu, a znać było, że wielką drogę odbył i ledwie się na nogach trzymał.

— Ha! na Perkuna, ja tych zbójów zgniotę, żywcem będę palił, za każdego z naszych dziesięciu wymorduję, aż będzie na tej ziemi więcej krwi niż wody!

Targał się za brodę, nogami uderzał o kamienie, gniew nim miotał. Nie słyszał za sobą kroków. To stryjowie wyszli dowiedzieć się o nowinę. Dopiero kiedy go kneź Władysław ujął za ramię, obejrzał się.

— Słyszeliście?! — zawołał.

— I spodziewaliśmy się tego dawno.

— Ha! żmije, gady, ja ich zetrę na proch i na cztery wiatry rozsypię!

— My z tobą idziemy.

— Dobrze! W sam raz przybyliście. Zbigniewa dzielnica najbliższa. Spieszcie do swoich, zbierzcie lud i skoczcie Jaksie z pomocą, ja za wami wnet podążę, a ogniem

będę drogę znaczył na zachód, choćby na kraj świata, gdzie tylko jednego niemca znajdę!

Wziął stryjów za ręce i powiódł do dworca. W pół drogi się odwrócił.

— Ryś! — zawołał — chodź za mną.

We drzwiach dworca ujrzał Popiel żonę. Oparła się o odrzwia; twarz miała bardzo bladą, oczy błyskały piorunami, wargi przygryzała do krwi, ale milczała. Popiel spojrzał na nią, zatrzymał się chwilę, wreszcie nie mówiąc słowa, wszedł ze stryjami do komnaty. Księżna już im nie towarzyszyła.

Kneź ze stryjami naradzał się nad sposobem obrony kraju, gdyby niemcy chcieli w głąb wkroczyć; obliczał siły, które teraz będzie mógł w pole wyprowadzić, kazał rozsyłać gońców do książąt i kmieci, aby kto żyw i topór zdolny w ręku zdzierżyć, spieszył do niego.

— Ryś, gotuj mi ludzi i konie, broń wybierać, czyścić, aby na pierwszy znak można wyruszyć w pole.

Staremu wojakowi błyszczały oczy z radości.

— Pójdziem, miłościwy panie, pobijemy na głowę i bogom na ofiarę spalim więcej niemców, aniżeli koni ma książęca stadnina.

Prostował się i rósł niby na samo wspomnienie wojny, a kiedy wymawiał nazwę wrogów, to pięści zaciskał, na czole zbierała mu się chmura, a z oczu niby pioruny się sypały.

— Ot takich — zawołał kneź, zacierając ręce z radości — mieć dziesięć razy po sto, a nie bałbym się żadnego wroga, ni w domu, ni za domem. Dobrze mój Rysiu, idź i rób, jakom ci nakazał. W dzień czy w noc ma być wszystko gotowe.

Gdy Ryś wyszedł z komnaty, Popiel przechadzał się szybko i widać było, że myślał.

— Miła mi wasza obecność, ale nie długo się nią będę cieszył. Najpierw trzeba się uporać z wrogiem, a potem zasiędziem do biesiady.

— Trudno — odpowiedział kneź Władysław. — Najpierwsza jest ziemia rodzinna, bo ona dar bogów, trzeba ej bronić, choćby do ostatniej kropli krwi.

— Dobre duchy nas tu zesłały w samą porę — dodał Zbigniew.

— Poślijcie dziś jeszcze do swoich dzielnic, niech się zbrojni zbierają. Dam wam posłańców tęgich, niech jadą z waszem słowem na noc, aby rychlej. Wy ruszycie jutro.

— Słuszny jest pośpiech, a ludzi nie potrzeba, poślę Wilkunia, on do tego najlepszy i jemu najchętniej da każdy posłuch.

— Dobrze, dobrze. Każę mu dać konia świeżego, w drodze niech chwyta ze stad, niech bierze od kmieci, choćby dziesięć miało pod nim paść. Tu każda chwila droga.

Stryjowie z radością spoglądali na Popiela. Nieraz on m był przykry, bo dumny, a rad starszych nie znosił; nieraz niechętnem okiem patrzał na dostatek stryjów i ich u narodów poważanie, a zazdrości i złości nie umiał ukrywać. Dziś wcale był innym.

I to ich także radowało, że tak gorąco gotował się do boju z niemcami, bo już tu i ówdzie szeptano, że kneź dla żony niemki, chce zaprzestać wojny. Wiedziano, że do księżnej przybywają posłowie z Niemiec, że stamtąd ma jakiegoś czarownika, co niby, jak kapłan pogański, był kapłanem jej Boga i wiary. Ludzie ci ukrywali się na dworze Popiela z obawy przed ludem, który ich, jako wrogów, nienawidził, ale lud się obawiał zdrady i mówiono nawet, że kneź chętnie daje ucho podszeptom tych posłów, a bardzo słucha rad żony.

A teraz stryjowie zapomnieli o tem wszystkiem, co sami już nieraz myśleli, bo Popiel ich witał jak najmilszych gości, bo gotował się do boju na śmierć lub życie z zaciętymi wrogami naszej ziemi.

— Spieszcie na granicę, piersiami zasłońcie ziemię i dawajcie co żywo znać, czy mam przybywać. Ja tymczasem zbiorę siły i będę czekał. Albo do ostatniego zginiem, albo raz koniec położym najazdom.

— Nie myśl o śmierci, dadzą bogowie — zwyciężymy.

— Niech wam Światowid nagradza dobroć i pomoc. A teraz czas wam wypocząć w łożnicy, bo wielki trud was czeka.

Odprowadził tedy stryjów na spoczynek, a sam potem wyszedł na podwórzec, obejrzeć straż.

Na drugim końcu uwijała się gromada ludzi i słychać było szczęk mieczów i uderzenia kamiennych toporów. Ryś w pośrodku oglądał każdą sztukę, rozdawał, nakazywał głosem spokojnym a gromkim. Na wale siedział Mirosz i potrącając o struny gęśli, śpiewał półgłosem.

Wiatr plątał słowa, unosił tony gdzieś daleko i pieśń zda się leciała aż na krańce tej ziemi, na której Polanie siedzieli spokojnie, zajęci rolnictwem, barciami, dla rozrywki polując, a chwaląc swe bóstwa po świętych gajach i chramach. Nikt tu nie żył dla wojny, za oręż chwytano z potrzeby tylko, ku własnej obronie.

Kneź wszedł na wał i patrzał przed siebie. Sine mgły unosiły się nad jeziorem Gopłem, w dali czerniały lasy, cisza była i tylko szept szuwarów, kołysanych wiatrem, dolatywał.

— Bogowie moi, czemu nie dacie tej ziemi pokoju? — wymówił, jakby sam do siebie, Popiel.

W tej chwili czuł, że kochał tę ziemię, której królowali jego ojcowie, i ślubował wielkie objaty za zwycięstwo upragnione.

Księżyc ukazał się po nad lasem i oświecił nizkie ściany książęcego dworca. Popiel obejrzał się. Jakby cień mignęły mu się dwie postacie. Jedna była biała, druga czarna zupełnie. Zdawaćby się mogło, że to duchy jakieś snują się po dworcu. Popiel wiedział, że to nie duchy — twarz jego jednak spochmurniała, brwi zsunęły się silnie, a oczy błysnęły gniewnie.

Powrócił do dworca i wkrótce usnął.

Następnego dnia ruch wielki panował na zamku. Popiela. Książęta Władysław i Zbigniew odjeżdżali, wysyłano posłów do innych, aby się zbroili na wyprawę, zatykano wici, zapowiadające wojnę. Lada chwila miały zapłonąć ogniem, jako hasło wielkiego boju za kraj rodzinny. Ludzie cisnęli się do dworca po wieści, ale ich stamtąd odprawiano z niczem. Popiel nie lubił, aby jego służba rozprawiała szeroko. Dawał rozkazy i musiano milczeć.

Ale był ktoś, co z wieścią pospieszył od chaty do chaty, a tak mu było pilno, że zapominał o wieku i szedł

jak młodzieniec. Tym zwiastunem był stary Mirosz, któremu zda się lat ubyło. Twarz mu gorzała płomieniem, oczy jaśniały radością, pieśń płynęła z piersi szeroko i donośnie. Każdą chatę, każdą gromadkę ludu witał i żegnał pieśnią żwawą:

Na bój, na bój,
Wiedzie nas kneź,
Na bój z odwiecznym wrogiem:
Na bój nas wiedzie,
A sam na przedzie,
A za nim ludu tysiące.

Wielcy bogowie,
Jaśni duchowie,
Użyczcie nam waszej pomocy;
Za waszą cześć
Każdy chce nieść
Ostatnią kroplę krwi serdecznej.

Pieśń brzmiała jak hasło bojowe, a lud ją powtarzał i roznosił po kraju szybciej, aniżeli to mógł sam Mirosz uczynić. A starzec był wesół i śmiał się i śpiewał, jakby sam jeszcze myślał iść na wojnę z wrogiem, który mu niegdyś, lat temu już bardzo wiele, spalił chatę i ojca starego zamordował, a ziemię rodzinną skopał końmi ciężkimi i pędził lud z bydłem pospołu na powrozach. Odtąd Mirosz nienawidził tego wroga i póki mógł, orężem go ścigał, a dziś bodaj pieśnią innych zagrzewał do boju. I on słyszał, że kneź za podszeptem żony chce się pobratać z niemcami, że na znak miru nosi na piersiach złoty krzyżyk, od którego uciekają bogowie odwieczni i gromy biją u stóp świętych drzew. I on wierzył w te posłuchy i bolał nad niedolą ludu i ziemi, które własny pan chciał zaprzedać obcym, wrogom i wrogim bogom. Teraz sam się przekonał, że tak nie było, sam słyszał knezia miotającego przekleństwa na tych niecnych wrogów, których można było bić, ale rozmówić się nie potrafił ni Polanin, ani żaden ze Słowian.

— Bogowie tę odmianę w kneziu sprawili — mówił sam do siebie i spieszył dalej z radosną nowiną.

Minął tydzień. Na dworcu wszyscy byli gotowi do boju, czekano tylko wieści od granicy. Kneziowie Bojomir i Zboisław dali znać, że już zebrali drużyny i wyglądają tylko ognistych wici.

Popiel sam oglądał zbrojnych i konie, ale we dworze chodził pochmurny i milczący. Adela nie wychodziła prawie ze swych komnat. Nic z mężem nie mówiła do owego dnia, kiedy nadeszła wieść złowroga, ale była niespokojna, jakby czegoś wyczekiwała, a do męża miała żal. On też ku jej komnatom spoglądał często, coś wtedy mruczał niewyraźnie i pił całemi godzinami miód to z kubka, to wprost z dzbana, jakby ogień miał w piersiach. Nieraz w nocy zrywał się z posłania, biegł na wały, nasłuchiwał, czy gdzie w dali nie tętnią końskie kopyta, ale wszystko na darmo. Kiedy wracał, widział światło, przedzierające się przez szpary okienic, w mieszkaniu żony. Podchodził pod okna i słyszał stłumione szepty. Wtedy twarz jego stawała się jeszcze groźniejszą i wróciwszy, nie mógł usnąć.

Pewnego dnia, już nad wieczorem, trzech jeźdźców zakołatało do bram zamkowych. Straż wpuścić ich nie chciała, jako nieznajomych, bo choć okryci byli w długie opończe, takie, jak Polanie nosili, ale znać było, że obcy. Wtedy jeden z nich dał Rysiowi jakiś znak, żądając, by go odniósł księżnej.

Czekali dość długo; konie pomęczone pospuszczały głowy, jeźdźcy milcząc spoglądali to na siebie, to na dworzec. Wreszcie otworzono im bramę i sam Ryś wiódł ich do komnat księżnej.

Straż rozprawiała szeroko, coby to mogli być za jedni, ale nikt ich nigdy przedtem nie widział. Do dworca nikt nie śmiał się zbliżyć, a było tam cicho, jakby ci zagadkowi goście pod ziemię się zapadli. Wiedziano tylko, że poszli do księżnej, a nie do Popiela, który siedział w gościnnej komnacie i pił.

Popiel widział przybyszów, ale się z izby nie ruszał. Nie ci to pewno byli, których oczekiwał już dni tyle. Pił wiele i niespokojnymi krokami przechadzał się.

Wtem stanęła przed nim żona.

Spojrzał na nią chmurnie, lecz milczał. Ona także nie wiedziała, co mówić.

Wreszcie odezwała się:

— Od ojca mego wysłannicy przybyli.

Popiel milczał.

— Chcą się tobie pokłonić....

— Nie jestem ich panem, pokłonów nie potrzebuję — odparł szorstko.

— Dla ojca mego, dla mnie uczynisz to, przyjmiesz ich — prosiła łagodnie.

Odwrócił się, jakby się bał błagającego wzroku żony.

— Daj mi pokój.

— Czyżbyś odmawiał gościny przybyłym z daleka?

— Nie odmawiam jej. Każ im dać jeść i pić, ale widzieć ich nie chcę.

Księżna patrzała długo na męża, jakby go do głębi przeniknąć chciała. Po chwili znów się odezwała:

— Miałżebyś się bać dwóch bezbronnych ludzi?

— Bać się, ha! ha! — zaśmiał się głośno Popiel — na Perkuna, to dopiero trafne słowo; ja miałbym się bać tych dwóch niemców, kiedy idę na ich tłumy zbrojne.

— Na braci swej żony — wymówiła cicho Adela.

— Na wrogów, co mi kraj nachodzą, ludzi zabijają, palą i niszczą; a kiedy to bracia mej żony, to powinni uszanować moją ziemię.

Księżna, widząc taki gniew męża, chciała wyjść.

— Wołaj mi ich tu, zaraz ich chcę widzieć, ugościć; niech posłowie zbójów zajrzą w oczy księciu, co, nim był mężem, był panem i piędzi ziemi nie da sobie wydrzeć.

Chodził gniewny, machając rękoma, potrącając o stół, to o ławy.

— Wybacz... — prosiła żona.

Stanął przed nią.

— Coś ty winna, że cię, jak wilka do lasu, ciągnie do niemców? Nie bój się, nic nie zrobię złego posłom twego ojca, choćby szli w poselstwie nie od niego, a od tych, co mi ziemię drą po kawale. Idź, przyprowadź ich.

Kiedy Adela już do drzwi się zbliżała, przystąpił jeszcze do niej i spokojnie, acz z naciskiem, powiedział:

— Pamiętaj, że choć cię wychowano w murowanym zamku niemieckim, jesteś żoną Popiela i matką syna, który tej ziemi będzie panował. Dla siebie i dla niego muszę tej

ziemi bronić — dla lechickiej księżnej niemcy, choćby rodzeni, muszą być wrogami!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jerozolima i jej okolice.

Wspomnienia z polskiej pielgrzymki 1907 r.

(Ciąg dalszy).

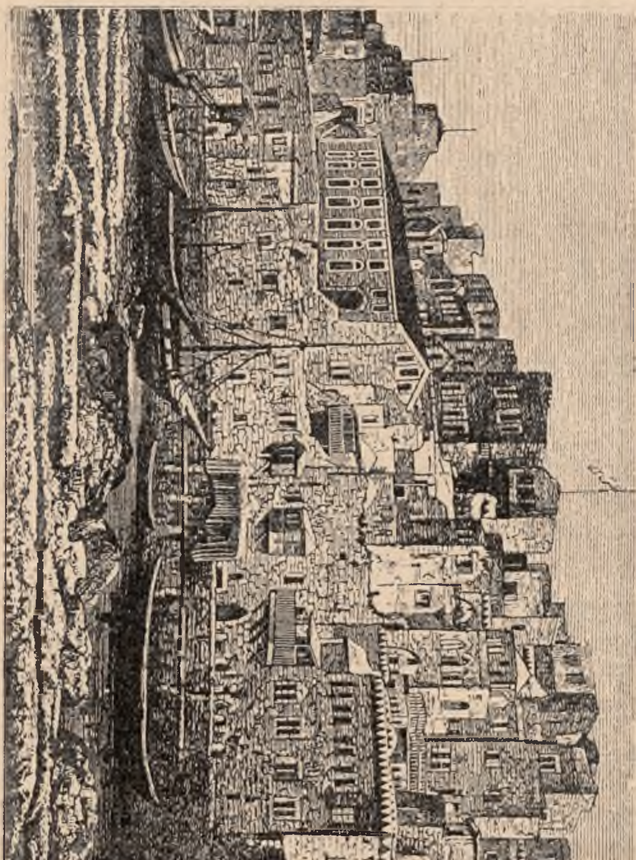
Po śniadaniu, gdy dnieć poczęło, ujrzeliśmy piękny widok Ziemi świętej i miasta Jaffy. Śledziliśmy z dala miasto, jego gmachy oryginalne, wschodnie i cieszyliśmy się, że przestrzeń od niego nas oddzielająca coraz więcej się zmniejsza. Wreszcie o 5-ej godzinie z rana, dnia 5-go września spuszczono kotwicę do morza, okręt stanął, a my zbliżaliśmy się do celu podróży. Z powodu raf podwodnych i płytkości morza nie mogą okręty dopłynąć do samego lądu, stanęliśmy przeto na morzu, jakie trzy kilometry od wyrzeża. Jaffa nie posiada zatem żadnego portu. Podobno rządy europejskie, jak angielski, francuski i niemiecki, chciały go zbudować, jednak rząd turecki nie zezwolił, zapewne z obawy łatwiejszego dostępu w czasie napadu lub wojny. Od brzegów przybywały po nas łódki, do których chcąc nie chcąc siadać musieliśmy; kierowała niemi silna a wprawna ręka krzykliwych Arabów. Na wybrzeżu oczekiwali nas Bracia Mniejsi z Jaffy i Jerozolimy, również ks. Dr. Erlich, dyrektor hospicyum (gospody) austryackiego i konsul austryacki, którzy przybyli na nasze powitanie z Jerozolimy. Ustawiliśmy się w szeregach według podziału grup i udaliśmy się procesyonalnie z pieśnią: «Serdeczna Matko» na ustach do kościoła Braci Mniejszych, aby Panu Bogu podziękować za szczęśliwie dotąd przebytą podróż i za łaskę przybycia do Ziemi świętej.

2. Jaffa.

Wypada nam choć krótką wzmiankę poświęcić Jaffie, jest to bowiem pierwsze miasto, jakie spotkaliśmy w Ziemi świętej uczczone pobytem Księcia Apostołów św. Piotra.

Jaffa (po grecku Joppe) jest to typ wschodniego miasta. Tu i owdzie nad płaskim dachem domów, zbudowa-

nych z białego kamienia, powiewa bujna palma; ulice wązkie, ciemne i bardzo brudne, jak zresztą wszędzie na Wschodzie; w dodatku gromady bezdomnych i na pół zdziczałych psów leżą na ulicach, nie ustępując nikomu z drogi.



Widok miasta Jaffy od strony morza.

Pod ścianami zaś domów siedzą rzędem mieszkańcy, milczący, o ponurym wyrazie twarzy, zamyśleni, jakoby w ustawicznej kontemplacyi. Jedni z nich palą oryginalne fajki wodne (na dole znajduje się niby karafka, napełniona wodą, przez którą przechodzi dym do długiego cybucha); drudzy obok nich siedzą i — modlą się (!) i to na różańcu, który składa się podobno z 99 paciorków, bo tyle ma cnót ich «Ałła» (bóg turecki).

Nieraz przemknie się ulicą postać kobiety z zasłonioną twarzą, podobna do mumii; jest to muzułmanka, która stosuje się do przepisów Koranu. Jej twarzy się nie widzi, lecz ona podobno dobrze widzi i, jak każda kobieta, przypatruje się ciekawie przechodniowi.

W Jaffie i w ogóle na Wschodzie używa się powszechnie wielbłądów, osłów lub mułów do dźwigania ciężarów. Wozów w tym celu nie używają, zresztą nie pozwalają na to zbyt wązkie ulice. Bardzo trafnie odpowiadają te powolne zwierzęta ciężarowe usposobieniu tamtejszych mieszkańców; swoją zaś cierpliwością i łagodnścią (zwłaszcza wielbłądy) zyskały sobie powszechnie »sympatyę» pielgrzymów.

Jaffa liczy obecnie około 45 tysięcy mieszkańców (25 tysięcy muzułmanów, 10 tysięcy żydów, 10 tysięcy chrześcijan, a między nimi tysiąc pięćset katolików). W ostatnich czasach zwiększyło się miasto znacznie z powodu licznych pielgrzymek do Ziemi świętej. Mówią, że rocznie przechodzi tędy 20 tysięcy pielgrzymów! Jaffę nazwano «Bramą Wschodu» i to zupełnie słusznie. Tu bowiem europejskie okręty przywożą produkty ze Zachodu a wywożą różne owoce krajów południowych jak: pomarańcze, figi, daktyle, także wino i oliwę. Handel jest przeto znaczny. Byłby on atoli niewątpliwie większy, gdyby posiadał dobry i wygodny port.

Wielką ma Jaffa i odległą tradycyę. Tu miał Noe swą arkę zbudować a po potopie żył i umarł na tem miejscu. Szczątki arki i grobowiec Noego pokazywano jeszcze za czasu Józefa Flawiusza. Podobno syn Noego Jafet odbudował miasto, które od niego swą nazwę nosi. Pismo św. wspomina często o Joppie, czyli dzisiejszej Jaffie. Prorok Jonasz, nieposłuszny na głos boży, nie chciał opowiadać pokuty grzesznym Niniwitom, wsiadł na okręt, który z Joppy wyruszył, i został przez rybę pochłoniętym. Król Salomon sprowadzał przez Joppe materyały (drzewo cedrowe) od króla syryjskiego na budowę świątyni jerozolimskiej. Judasz Machabeusz spustoszył Joppę ogniem i mieczem za zdradzieckie wymordowanie żydów. W Joppie przebywał także dłuższy czas święty Piotr w domu garbarza, Szymona; na tem miejscu podobno stoi jedyny kościół

katolicki św. Piotra, należący do Braci Mniejszych, w którym byliśmy się pomodlić. Inni zaś pokazują domek obok latarni morskiej, jako własność Szymona garbarza, i twierdzą, że tam odebrał święty Piotr polecenie ogłaszania Ewagelii także poganom i przyjmowania ich do Kościoła świętego. W mieście tem wskrzesił Książę Apostołów w czasie swego pobytu pobożną niewiastę, dobroczynną Tabitę. Dziś jeszcze pokazują pielgrzymom studnię «Tabity»; na wzgórzu, gdzie stał jej dom, znajduje się obecnie cerkiew rosyjska, schizmatycka.

Kilkakrotnie uległa Jaffa zniszczeniu w czasie wojen między Rzymianami a żydami, w średnich zaś wiekach między Krzyżowcami a Turkami. Obecnie podnosi się zwolna i należy do większych miast Azyi Mniejszej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zwyczaje popielcowe u ludu w Królestwie Polskiem.

Środa popielcowa, powszechnie zwana «Wstępną», jest przedewszystkiem uroczystością kościelną. W pierwszych wiekach Kościoła w dniu tym, jako pierwszym czterdziestodniowego postu, grzesznicy, pragnący wrócić do Boga, rozpoczynali publiczną pokutę. Biskup, jako Pasterz, w towarzystwie duchowieństwa przyjmował ich do tych świętych ćwiczeń przez odmawianie nad nimi pewnych modlitw, kładzenie rąk i posypywanie ich głów popiołem. Stądto pozostał w Kościele zwyczaj posypywania popiołem w tym dniu głów wszystkich wiernych podczas nabożeństwa. Nadto w popiele tym Kościół chce nam żywo przypomnieć obraz naszej znikomości i śmierci, zwracając się do każdego przez usta kapłana ze słowami: «O, człowiecze! pamiętaj, że prochem jesteś i w proch się zamienisz!«

Poza tem wszakże ze Środą popielcową, czyli Popielcem, związane są różne świeckie zwyczaje ludowe, po części powszechne w całym kraju, po części różne w każdej okolicy. Jedne z nich są zupełnie niewinne, a nawet mają pewną myśl rozumną w sobie; inne zakrawają na skromną zabawę, jakby zakończenie wesołych Zapust; niektóre, niestety, połączone są z pijatyką i hulanką, nie licującemi z po-

wagą Wielkiego postu: wszystkie zaś o tyle są ciekawe, że — jak sądzimy — czytelnicy nie pogniewają się na nas, jeśli małą ich wiązankę z różnych okolic Królestwa Pol-



Cesarz Napoleon a Papież Pius VII.
Objaśnienie w artykule na str. 54.

skiego tutaj podamy. Jeżeli bowiem ciekawymi są dla nas zwyczaje i obyczaje Murzynów, Indyan, lub innych narodów obcych, to tem ciekawszymi być muszą i powinny nasze własne. Przypatrzmy się więc im!

U K u r p i ó w, na przykład, w gubernii Łomżyńskiej, w Środę popielcową ustają wszelkie zabawy. Chłopcy tylko

biegają po wsi, rzucając na dziewczęta popiół. W dzień, po nabożeństwie, gospodynie zszedłszy się do jednej izby, tańczą wszystkie i skaczą na konopie, co ma znaczyć życzenie, żeby konopie tak wysoko im wyrosły, jak wysoko która podskoczy. Wieczorem zaś zbierają się do izby gospodynie i komornice; gospodynie siadają w jednym kącie, komornice — w drugim i, przy poczęstunku, śpiewają na przemiany:

Gospodynie:

Jedzie Zapust na koniu, wywija po moście,
Frasują się komornice, co będą jeść w poście.

Komornice odpowiadają:

Stoi beczka śledzi —
Niech każda je, w domu siedzi.

Gospodynie śpiewają znowu:

Jedzie Zapust na koniu, wywija po moście,
Frasują się komornice, co będą pić w poście.

Komornice:

Stoi beczka piwa,
Niech każda pije, póki żywa.

Gospodynie:

Jedzie Zapust na wozie,
Ciągnie mięso na powrozie:
I przyjechał k'nam k'nam!

Komornice:

Krzyknął: chude gąski mam!
Wypędzę je na murawkę,
Niech zieloną szczypią trawkę.
A tu zima,
Trawy niema!
Gąski pozdychały,
Gosposie się oblizały....

Zaraz po tym śpiewie wchodzi do izby jeden z Kurpiów, szaro ubrany, na koniu, zrobionym z dwóch drąż-

ków: jeden drążek, wzniesiony w górę, stanowi szyję — tam założona jest na końcu kiść lnu zamiast ogona. Cała ta postać okryta jest prześcieradłem. Jeździec ma drągi przymocowane do siebie sznurkami i, dowolnie poruszając nimi, podskokami naśladuje ruch konia.

Za przybyciem do izby jeździec, czyli — jak go zowią — Zapust, sypie popiołem naprzód na głowy komornic i miotłą je wygania; obróciwszy się zaś do gospodyń, wywraca butelkę z wódką, popiołem zasypuje im oczy i gasi światło. — I w ten oto sposób godzi on sprzeczkę gospodyń z komornicami i przypomina wszystkim, że czas zabawy już minął.

Tę samą myśl zakończenia zabaw zawiera inny zwyczaj we wsi Tuczno pod Inowrocławiem (w Poznańskiem). O godzinie dwunastej w nocy przed Środą Popielcową niby to zabijają tam grajka w taki zabawny sposób: prosto z karczmy wiozą go biesiadnicy na taczkach za karczmę. Dwóch idzie obok niego: jeden niesie kota, a drugi garnek z popiołem. Dowiózłszy do miedzy, wywracają owego grajka z taczkami: jeden rzuca w grajka garnek z popiołem, a drugi jednocześnie puszcza kota, który ucieka szybko ku ogólnej wesołości. Uciekający kot ma oznaczać duszę grajka, zabitego popiołem.

W Bodzanowie, raniutko, przy progu karczmy, gdzie się bawili w Zapusty, wieszają przetak z popiołem i przywiązują doń sznurek. Gdy kto wchodzi we drzwi, to chłopak, ukryty na piecu, pociąga nagle za sznurek od przetaka i obsypuje popiołem wchodzącego do karczmy.

W powiecie dobrzyńskim znów i lipnowskim baby, mając ukryte pończochy i patelnie z popiołem, zbierają się w biały dzień do karczmy. Każdy wchodzący mężczyzna musi się im wykupić poczęstunkiem. Inaczej bowiem obrzucają go popiołem, przewracają z wielkim krzykiem na ziemię i golą mu brodę patykiem, co nie obejdzie się nieraz bez skaleczenia.

Jednym z najpowszechniejszych w całym kraju zwyczajów popielcowych jest przypinanie klocków pannom i młodzieńcom: ma to być karą za to, że w ostatnie zapusty nie wstąpili w związki małżeńskie. W Warszawie i w innych miastach przypinanie klocków jest ulubionym fi-

glem chłopaków, terminatorów i tym podobnych wyrostków. Klockiem jest zwykle kawałek drewna, przyczepionego nitką do haczyka ze szpilki. W innych okolicach kraju klockiem bywa woreczek z popiołem, lub kości, uwiązane na nitce. W gubernii lubelskiej robią klocek z kilku skorup jajek kurzych, wydmuchanych i zawiązanych na sznurku.

W gubernii kieleckiej przypinanie klocka odbywa się niekiedy z wielką uroczystością. Jeden z gospodarzy, przebrany za dziada, przewodniczy orszakowi młodych chłopców, którzy ciągną przez wieś duży kloc, przywiązany na łańcuchu. Po drodze łapią oni parobków i dziewczęta, zaprzęgają ich do owego kloca i przymuszają ciągnąć go do karczmy, gdzie zaprzęgnięci muszą się wykupić.

Przytem śpiewają im:

We Wstępną Środę żeby włóczył,
Żeby drugich nauczył,
Jak to oni mają czynić,
Swoje syny pożenić.

Widzisz ty to mój bracie,
Co ja to przywiózł dla cię:
Klocek srogi z łańcuchem!
Opaszę go, z twym brzuchem.

Wstępna Środa dziś idzie,
Z dużym klocem przy biedzie,
Żuru dużo nagotowała
I nam i czeladce dała...

W okolicy Żarek i Siewierza (gubernia piotrkowska) kara dźwigania klocka spotyka głównie dziewczęta. Chłopcy przywiązują dziewczętom do pasa powrósłem duży kloc, ustrojony we wstążki i pióra.

W Łęczyckiem chłopcy o świcie w Środę popielcową starają się dziewczętom, które w zapusty wyszły za mąż, wybić żur, to jest rozbić o ich drzwi garnek z barszczem.

Lecz nietylko parobcy i dziewczęta, ale taże młode mężatki, młoduchy, nie są wolne w Popielec od różnych figlów sąsiedzkich.

W okolicy Denkowa i Ostrowca — w gubernii radomskiej — połączone to jest z pójściem na comber. W Środę

popielcową baby zmawiają się, do kogo iść na comber, stroją ze słomy bałwana (Mięsopusta), ubierając go w stare gałgany. Potem kręcą ze słomy długi bat i idą do młodych tegorocznych mężatek, zapraszając je: «pójdźcie na comber, żebyście się wykupiły!» Razem z niemi zapraszają też dziewczęta za karę, że za mąż nie wyszły.

We wsiach w okolicy Żarek, Siewierza i Pilicy zwyczaj podobny nazywa się zapisem młodych do kobiecego cechu. Od samego rana starsze mężatki ze wsi, odziane w męskie kapoty, kapelusze i pasy, w przyprawionych z konopi wąsach i brodach wybiegają z chat, wywlekają od pierwszego lepszego gospodarza sanie, a, postawiwszy na nie ogromny ceber, ciągnąc za dyszel i popychając z tyłu, ruszają pędem z miejsca, wśród śmiechu, krzyku i nieopisanej wrzawy. Liczne otoczenie, składające się z młodzieży płci obojga, podąża za niemi, a kilka kobiet, niby kapela, wyprzedziwszy cały orszak, śpiewa, przybijając do taktu w przetaki, pełne skorup, szkła i łyżek cynowych.

W takim porządku zajeżdżają przed chatę młoduchy. która w ubiegłe lato wyszła za mąż. Tutaj przebrane kobiety wpadają do izby i, zamknąwszy do komory broniącego się chłopa, wyciągają z chaty młoduchę i wśród ogólnej wesołości oraz krzyków wsadzają do cebra na saniach. Poczem cały orszak rusza szparko przez wieś ku gospodzie: jedne ciągną sanie, inne przytrzymują wyskakującą młoduchę, a reszta skacze przodem, pobrzękując w przetaki.

W karczmie młoducha musi wyprawić poczęstunek z okazyi «wpisunku do kobiecego cechu», poczem wśród pocałunków życzą jej szczęścia i jadą po drugą młoduchę.

W Głuszynie młode mężatki wiozą nie na saniach, lecz na taczkach, przybranych sośniną, wstążkami i firankami, i zaprzężonych w niedźwiedzia. Niedźwiedziem jest oczywiście chłop, przybrany w grochowiny. Przytem jedna ze starszych, wygadanych mężatek, zwana Śmieszką, opasana torbami, trzyma kij w ręku i udaje przekupkę. Ma ona na sprzedaż niby papier, cukier i przyprawy — a właściwie kamyki, lód, śnieg, błoto — i częstuje tymi przysmakami gości.

Hasła socyalistów.

Wolność bez hamulca — oto sztandar nasz!
Własność jest kradzieżą: oddaj więc co masz!
Majątki, kobiety — wspólne mają być,
By na świecie każdy mógł wygodnie żyć!

(Przełożył z niemieckiego X. J. Janiszewski).

Cesarz Napoleon a Papież Pius VII.

Dziwne podobieństwo istnieje między losami cesarza Napoleona i prześladowanego przez niego Papieża Piusa VII. Gdy wspomniany Papież przybył w roku 1804 na cesarską koronacyę Napoleona do Paryża, wtedy Napoleon usiłował skłonić Papieża do przeniesienia stolicy papieskiej z Rzymu do Paryża. Na to odpowiedział cesarzowi Pius VII., że on jest «komedyantem».

Odpowiedź ta tak uraziła dumnego cesarza, że pochwycił obraz, przedstawiający kościół św. Piotra, i podarł go na kawałki w oczach Papieża, mówiąc: «Tak kiedyś zniszczę Kościół!» Na to odrzekł Papież zupełnie spokojnie, że cesarz gra tragedyę, czyli że, tak jak aktor w teatrze, przedstawia straszne nieszczęścia.

Słowa te, wypowiedziane jakby w duchu proroczym, spełniły się później zupełnie. Straszne bowiem nieszczęścia przechodzić musiał Napoleon. I tak:

Napoleon więził Papieża Piusa VII. przez siedem lat w niewoli w dwu miejscowościach, to jest w Sawonie i Fonteneblo; później za to wzięto cesarza do niewoli, w której pozostawał także przez siedem lat i także w dwu miejscach, to jest na wyspie Elbie i na wyspie św. Heleny.

Na zamku cesarskim w Fonteneblo zmuszał Napoleon Piusa VII. do odstąpienia mu państwa kościelnego, za co obiecał wypłacać Papieżowi po dwa miliony franków rocznie. Dziwnym zbiegiem okoliczności musiał później Napoleon podpisać dekret abdykacyjny w tymże samym zamku, a nawet pokoju, i za to otrzymał dwa miliony franków rocznej pensyi.

Dnia 17-go maja 1809 r. wydał Napoleon w Wiedniu dekret, odbierający Papieżowi państwo kościelne. Odtąd jednak poczęło szczęście opuszczać Napoleona; w cztery bowiem dni po wydaniu owego dekretu przegrał cesarz pierwsze bitwy. Arcyksiążę Karol zadał mu klęskę pod Aspern i Esslingen. Pierwszy raz przekonał się świat o tem, że takiego niewyciężonego wojownika można przecież pokonać.

Po tej klęsce rzucił Papież klątwę na Napoleona. Gdy się o tem dowiedział Napoleon, uśmiechnął się i rzekł: «Nic to nie szkodzi. Moim żołnierzom nie wypadł jeszcze wskutek tego miecz z ręki». Tymczasem podczas wyprawy Napoleona do Rosyi w r. 1812 — zginęła cała jego armia, to jest pół miliona żołnierzy i wszystkim żołnierzom z ogromnego zimna wypadała broń z ręki.

Dnia 5-go maja 1821 r. umarł Napoleon podczas strasznej burzy na wyspie św. Heleny. I tu uderza nas to, że umarł w dniu imienin Papieża Piusa VII.; Papież zaś już od roku 1815 był w Rzymie i panował w państwie kościelnem.

Zdarzenia powyższe budzą w nas podziw, a z drugiej strony świadczą o potężnej opiece, którą Bóg otacza Kościół i jego Głowę.

GWIAZDY.

(Pogawędka naukowa).

Któż z nas w pogodną noc bezksiężycową nie zachwycał się wspaniałym widokiem nieba gwiaździstego? Kto się nie starał przeliczyć choć cząstkę tych świetnych iskier Bożych, rozrzuconych w nieskończonem przestworzu? Kto nie zapytywał w duszy, czem są i co się na nich znajduje? O! zaprawdę, niebo gwiaździste każdego pociąga swym urokiem; a jeżeli jeszcze posłuchamy tego, co nam opowiadają uczeni badacze o gwiazdach, — to opanuje nas zdumienie i podziw wobec ogromu, jaki nam się wówczas przedstawi.

Każde bowiem z tych świateł niebieskich — to olbrzymia kula słoneczna, w niezmierzonej świata przestrzeni zawieszona ręką wszechmocnego Boga, który je stworzył, na-

znaczył im ruch właściwy i biegiem ich kieruje. Słusznie też mówi Psalmista, że: «niebo opowiada cześć Pana....»

Każda gwiazda — to słońce. A tych słońc jest tak wiele, jak piasku w morzu. Daremnie chcielibyśmy je porachować. Około 6 tysięcy gwiazd widzieć można gołem okiem, ale cóż to znaczy! Przez teleskop uczeni znaleźli 100 milionów gwiazd, a i to jeszcze tylko mała cząstka, bo gwiazd, których z powodu odległości przez najlepsze nawet teleskopy dostrzedz nie można, są nieskończone miliony! I to jest odpowiedź na pytanie, ile jest gwiazd na niebie.

Gwiazdy, chociaż są tak wielkie jak słońce, a nawet większe, wydają nam się drobne i małe dlatego, że są od nas niezmiernie daleko. Najbliższa gwiazda stała jest od nas o 550 milionów mil oddalona. A odległość ta nie jest jednakową. Do najbliższej gwiazdy jest 30 razy dalej, niż do słońca, a za tą gwiazdą i 100 tysięcy razy większą przestrzeń przebyć trzeba, aby się dostać do nowej gwiazdy. Nasze słońce z całym układem słonecznym jest w przestrzeni zupełnie odosobnione. Odległości pomiędzy gwiazdami, obliczone na setki milionów mil, są tak niezmierne, że przechodzą nasze pojęcie. Dlatego też te olbrzymie ciała niebieskie przedstawiają się nam tak małe. Z takiej odległości i nasze słońce wydałoby się takąż gwiazdą maleńką.

Koło tych gwiazd prawdopodobnie krążą także planety takie, jak nasza ziemia. Trudno przypuścić, aby wśród milionów słońc jedno tylko nasze słońce miało swoje planety — i aby tylko na jednej naszej ziemi, która ginie wśród mnóstwa innych planet, mogło być życie organiczne — mogły istnieć stworzenia. Bóg jeden wie, ile to światów wisi w tej niezmiernej przestrzeni, ile to istot żyjących chwali swem istnieniem wielkość Jego. Bezwątpienia większość gwiazd stanowią układy, do układu słonecznego podobne.

Chociaż gwiazdy wydają się nam nieruchome, mają one jednak ruch swój własny. Obracają się około swej osi i poruszają w przestrzeni, ale skutkiem wielkiej odległości ruch ten jest dla nas nieuchwytny. Nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że we wszechświecie wszystko jest w ruchu, wszystko się zmienia i przeistacza, a niezmienne, niewzruszone są tylko prawa natury, jak niezmiennym jest ich Twórca — Bóg!

Gwiazdy stałe mają oznaczone miejsce w przestrzeni i nie zmieniają swego położenia, a rozmieszczenie ich na niebie nie ulega żadnej zmianie. To dało ludziom możność poznawania i odszukiwania gwiazd, zwłaszcza, gdy poukładali z nich pewne grupy, składające się z kilku lub więcej gwiazd wyraźniejszych, blizko siebie leżących. Grupy takie nazywamy gwiazdozbiorami, albo konstelacyami. Jest ich kilkadziesiąt, a każdy ma własną nazwę, nadaną mu z powodu podobieństwa do niektórych przedmiotów, jakich obraz możnaby otrzymać, łącząc kreskami gwiazdy główne jednego gwiazdozbioru. Te różne nazwy nadano im jeszcze w starożytności, dotąd się jednak one zachowały.

Najłatwiej odnaleźć na niebie gwiazdozbiór, z 7 pięknych gwiazd złożony, widzialny najczęściej w północnej stronie nieba, nosi on nazwę Wielkiej Niedźwiedzicy, a powszechnie nazywają go Wielkim Wozem, gdyż tworzy figurę jakby wozu ze złamanym dyszlem. Grupę 6 gwiazd, z których jedna jest większa, a 5 małych, nazywają u nas Kwoczką z kurczętami, a astronomowie zowią Plejadami. Bystry wzrok dostrzega tam 6 gwiazd, a przez teleskop widać ich 80. Inne gwiazdozbiory noszą nazwy: Wielki Pies, Mały Pies, Smok, Byk, Orion, czyli Trzej Królowie (trzy gwiazdy z Oriona lud polski nazywa laską św. Jakóba), Panna, Lew, Orzeł, Łabędź, Ryby, Niedźwiadek, Baran, Rak, Waga, Strzelec i inne. Jednym z najważniejszych gwiazdozbiorów jest Mała Niedźwiedzica, podobna do Wielkiej Niedźwiedzicy i widzialna w północnej stronie nieba. Końcowa gwiazda dyszla tego małego wozu zowie się Gwiazdą Polarną albo Gwiazdą Biegunową, wydaje nam się zawsze nieruchomą, i dawniej w podróżach, szczególniej na morzu, służyła jako prawdziwa gwiazda przewodnia. Zwróciwszy się do niej twarzą, podróżny miał przed sobą północ, za sobą południe, po prawej ręce wschód, po lewej zachód.

Wskutek złudzenia, jakiemu ulegamy, wydaje nam się, że to nie ziemia wiruje, lecz że sklepienie nieba obraca się dokoła nas w ciągu 24 godzin. Wydaje się też nam, że i słońce przesuwa się po sklepieniu nieba, a drogę tę pozorną słońca rozpatrując, astronomowie zauważyli, że na niej znajduje się 12 gwiazdozbiorów, zajmujących prawie

równe przestrzenie, i że co miesiąc słońce wschodzi w innym gwiazdozbiorze.

Te gwiazdozbiory nazwano zodyakiem, a był on przy wyliczeniach starożytnych astronomów bardzo pomocnym. Dziś wobec udoskonalonych sposobów badania oznacza jedynie drogę pozornego biegu słońca. Dobrze jest o tem wiedzieć, aby rozumieć, dlaczego w kalendarzach spotykamy zwykle wzmiankę, w jakim znaku zodyaka znajduje się słońce w tym lub innym miesiącu, n. p. słońce wstępuje w znak barana, Byka, Bliźniąt i t. d.

Gwiazdy — są to olbrzymie kule ogniste, bądź płynne, bądź gazowe, rozpalone jak nasze słońce, wydające z siebie światło i ciepło. Gdy się uważnie gwiazdom przyjrzymy, zobaczymy, że nie wszystkie posiadają kolor biały. Jedne mają odcień niebieskawy, drugie są czerwone lub żółte. Przez teleskop jeszcze większą widać różnicę i okazuje się, że są gwiazdy wszystkich kolorów tęczy, choć najwięcej jest koloru białego.

Niektóre gwiazdy z biegiem czasu zmieniają barwę, i te nazywają zmiennemi. Są znów takie, których blask zmienia się, to są jaśniejsze, to znów bledną. Są i takie, co świecą przez pewien przeciąg czasu, potem znikają zupełnie. Niektóre gwiazdy dla gołego oka wydają się pojedyncze, przez teleskop zaś widać, że się składają z dwóch, trzech, a nawet więcej gwiazd różnego koloru: jedna biała, druga niebieska, trzecia czerwona lub zielona. W takich grupach można zauważyć, że jedna albo więcej mniejszych gwiazd obraca się około większej, jak planety około słońca.

W noc pogodną, a ciemną, można zauważyć jeszcze gwiazdki, co mają blask tak zamglony, że się nam wydają, jakby oświetlony, mglisty obłoczek — są to tak zwane mgławice. Gołem okiem można dostrzedz kilka takich mgławic, ale przez teleskop widać ich całe setki i wtedy przedstawiają się jako zbiorowiska niezliczonej ilości maleńkich gwiazdek. Są one jeszcze bardziej oddalone, dlatego dopatrzyć się ich nie można. Te mgliste obłoczki — to są roje gwiazd Taką olbrzymią mgławicą, otaczającą całe niebo, jest droga mleczna, każdemu dobrze znana. Przez teleskop każde miejsce w drodze mlecznej przedstawia się jako zbiór niezliczonych gwiazd. — O! jakże

niezmiernym jest wszechświat! jak nieogarnionym w swej potędze i wielkości — Bóg, który wszystko to stworzył i rozmieścił w wszechświecie! *W. G.*

Gołąb jako fotograf.

Dr. Neubrunner, aptekarz z Kronbergu, wynalazł przyrząd fotograficzny, który się przytwierdza do grzbietu gołębia pocztowego.

Przyrząd ten jest w ten sposób zbudowany, że otwiera się sam co pewien czas. Gołąb, zaopatrzony w taki samoczynny przyrząd fotograficzny, przelatując nad daną przestrzenią, fotografuje jej obraz mimowoli.

Wynalazek ten jest niesłychanie ważny dla celów wojennych, szczególnie odda on ogromne usługi przy oblęganiu twierdz. Wiadomo bowiem, że gołąb, wypuszczony z nieznanego sobie miejsca, wzbija się i nim obierze sobie kierunek drogi, zaczyna nad tem miejscem krążyć, zataczając coraz szersze kręgi. Otóż ta właściwość gołębia jest bardzo na rękę oblęgającym.

Gołąb z przyrządem takim, wypuszczony przed twierdzą, wzbija się i zaczyna krążyć, a wówczas w małym przyrządziku fotograficznym, umieszczonym na jego grzbiecie, odbija się obraz miejsca, nad którem gołąb przelatuje.

W ogóle, aby mieć obraz danej okolicy, musi się gołębia wypuścić w takiem miejscu, aby przestrzeń mająca być sfotografowaną, znajdowała się między wypuszczającym a gołębnikiem.

Gołębniki są ruchome i są zbudowane na wozach. W środku tegoż znajduje się komora, gdzie z przyrządu, zdjętego z gołębia, wyjmuje się klisze. Następnie otrzymuje się z nich obraz przestrzeni lub miejsca, nad któremi przeleciał gołąb. Obraz ten zapomocą specyalnych przyrządów można powiększyć. Cały gołębnik jest na biało pomalowany, aby był wyraźniejszy i mógł łatwiej wpaść w oko nadlatującym gołębiom.

ROZMAITOŚCI.

Suszenie ryb w Norwegii.

Przeważna część mieszkańców Norwegii, a zwłaszcza ci, którzy zamieszkują skaliste wyspy, żyje z rybołostwa,



które jest jedynym prawie ich zarobkiem i środkiem do utrzymania życia. I nietylko w morzu łowią Norwegowie ryby — ale i w rzekach i w jeziorach, a potem te ryby suszą, aby je można dłuższy czas zachować i w handel puścić. Sami również żywią się przeważnie rybami, i rzadko u Norwega zobaczyć można, nawet w największe święto, inne mięso, jak ryby lub innych morskich zwierząt.

Balony na wypadek wojny.

Amerykanin Knabenshuhe wykonał w Kalifornii interesujący eksperyment. By okazać użyteczność balonu dla celów wojennych, przeleciał w nocy kilka kilometrów nad miastem Los Angelos, zasypując domy i ulice miasta bombami... z papierków. Przez godzinę sypał się na miasto deszcz papierowych „bomb i kartaczy“, a pociski te wymierzane były w najważniejsze budynki, — w koszary i ar-

senał. Balon z powodu ciemności był niewidzialny, wobec czego obrona przed jego „bombami“ była niemożliwą.

W kołach wojskowych całego świata wywoła ten eksperyment z pewnością silne wrażenie, okazuje on bowiem, że balon może w czasie wojny zniszczyć w zupełności miasta i twierdze. I jak tu bronić się przeciw tego rodzaju napowietrznej artyleryi, walczącej nie zapomocą papierków, ale kartaczami?

Szczyt marnotrawstwa.

W roku zeszłym sprzedano w Waszyngtonie (w Ameryce) resztki własności niejakiej Julii br. Seckendorff, która przed 5-ciu laty odziedziczyła sumę około 20 milionów koron i w ciągu tych 5-ciu lat nietylko wszystko zmarnotrawiła, ale jeszcze narobiła długu 100 tysięcy dolarów, czyli 500 tysięcy koron.

Ratunek w letargu.

Stolarz Skowroński, w Ostrowie (w Poznańskiem), sporządził przyrząd dla osób pochowanych w letargu. Trumna i grobowiec są tak urządzone, że umożliwiają leżącemu zupełną swobodę ruchów i oddychania, a zapomocą przewodów i dzwonków elektrycznych osoba, znajdująca się w trumnie, alarmuje o pomoc. Urządzenie takiego grobu oblicza wynalazca na 600 koron.

Liczba zajęcy w Austro-Węgrzech.

W Austryi zabija się rocznie 1 milion 800 tysięcy zajęcy, na Węgrzech 1 milion 600 tysięcy. Najwięcej zajęcy posiada kraj czeski. W Czechach pada rocznie prawie 700 tysięcy zajęcy, w Dolnej Austryi 370 tysięcy, w Morawach 380 tysięcy, w Galicyi zaś bardzo mało, pomimo iż to kraj największy. Przed samemi świętami Bożego Narodzenia myśliwi zabijają w Austryi około 600 tysięcy, a na Węgrzech około 500 tysięcy zajęcy.

Sztuczne włosy ze szkła.

Wśród fryzyerów wielkich miast, tj. Londynu, Paryża, Berlina, Więdnia zapanowała prawdziwa rozpacz, bo coraz trudniej dziś o nabycie włosów naturalnych, a pa-

nie miejskie potrzebują właśnie dużo włosów do modnych obecnie fryzur.

Wobec tego okazała się nagląca potrzeba zastąpienia włosów naturalnych sztucznymi. Najpierw próbowano robić sztuczne włosy z lnu i włosów końskich, ale próby były kosztowne, a wyniki marne. Lepiej wypadły próby z włosami robionymi ze szkła. Zaczęto wyrabiać przędzę szklaną, nadzwyczaj misternie wykonaną, a tak do złudzenia przypominającą kolorem i cienkością włos ludzki, że nawet najwprawniejsze oko nie odróżni prawdy od sztuki. Nadzwyczajna miękkość tej przędzy szklanej pozwala układać rozmaite zwoje, pukle i t. p., zaletą zaś główną jest niezrównana lekkość. Osoba, zaopatrzona w taką perukę, podobno nie czuje jej nawet na głowie.

Wygodne koleje.

Postęp amerykański na polu kolejowem ma dwa cele. Jednym jest jak największa szybkość pociągów, a drugim jak największa wygoda podróżnych I w jednym i w drugim kierunku osiągają Amerykanie zdumiewające wyniki.

Pociągi kolejowe między Nowym Jorkiem a Chicago są urządzone prawdziwie po pańsku. Wszyskie wozy są oświecone elektrycznie i gdy pociąg stanie na stacyi, mogą podróżni nie wstając z miejsca za pomocą telefonu dopominać się o zapomniane rzeczy, załatwiać interesy i t. d. W pociągu jest biblioteka, z której podróżni biorą książki do czytania, — w osobnych przedziałach są łaźnie, obok oddział krawiecki, gdzie odprasowują i czyszczą ubrania. Jest też i fryzyer i jest własna poczta, która przyjmuje i wysyła listy napisane podczas drogi. Słowem najnowsze pociągi zaopatrzone są we wszystkie możliwe wygody.

Miasto z płótna.

Miasto Quebec w Kanadzie (w Ameryce) obchodzić będzie wkrótce 300 letni jubileusz swojego istnienia. Przy tej sposobności odbędą się wielkie uroczystości, na które spodziewany jest liczny zjazd z całej Ameryki północnej.

Aby tym przyjezdnym zabezpieczyć mieszkania, zbudowano za miastem drugie olbrzymie miasto z samych płóciennych namiotów. Zużyto na ich budowę przeszło 100 tysięcy metrów płótna; są one zaś tak wielkie, że każdy z nich pomieści w sobie przeszło 260 podróżnych. W namiotach restauracyjnych zasiadać będzie mogło do obiadu równocześnie 1.500 ludzi. Przewiewne te budynki oświetlone będą elektrycznością, sypialnie zaś opatrzone zostaną w piecyki. Koszt mieszkania w namiocie wyniesie przeciętnie 8 koron na dobę.

Gimnazyum złodziejskie.

W Tuluzie (w mieście południowej Francyi) odkryła policya formalne gimnazyum dla rzezimieszków i włamywaczy. Nauki udzielają tam nadzwyczaj gruntownie. Początkujący uczniowie kunsztu złodziejskiego pobierali naprzód naukę gimnastyki, aby wyrobić w sobie siłę i zręczność, potrzebną dla każdego włamywacza, bądź to w samym „zawodzie“ włamywania się do zamkniętych mieszkań i rozbijania żelaznych kas, bądź to do walki z policyą na pięści.

Dalej wykładali specyalni „profesorowie“ naukę rewidowania cudzych kieszeni i wyciągania z nich portmonetek, zegarków i t. d. Wykłady połączone były z objaśnieniami na lalkach i modelach przedstawiających osoby, które miały być okradzione. To mniej więcej wykładano w gimnazyum niższem.

W gimnazyum wyższem zaś kształcili się właściwi włamywacze. Więc naprzód uczono ślusarstwa złodziejskiego, to jest sztuki otwierania zamków bez klucza i bez uszkodzenia zamku, dalej wycinania otworów w kasach za pomocą specyalnych narzędzi, oraz budowy rozmaitych rodzajów kas, tak, aby złodziej na pierwszy rzut oka mógł poznać, z którego boku do kasy dobrać się należy.

Gdy uczniowie byli już odpowiednio przygotowani, puszczała ich dyrekcya szkoły na ćwiczenia praktyczne pod kierunkiem „profesorów“, to jest na prawdziwe wyprawy złodziejskie. Ale te nie ze wszystkiem chlubnie dla zakładu naukowego wypadły, albowiem wielu uczniów i profesorów policya na gorącym uczynku pochwy-

tała. Teraz gimnazyum złodziejskie musiano zamknąć, albowiem prawie wszyscy uczniowie i profesorowie zamiast na ławkach szkolnych siedzą w kryminale.

FIGLE I ŻARTY.

Gdzie przyczyna złego? Lekarz: — Pani będzie łaskawa przedewszystkiem pokazać mi język.

Mąż: — A widzisz, jak to pan doktor od razu poznał, gdzie u ciebie główna przyczyna wszystkiego złego!

Wytłumaczyła ją. Ojciec: — Ta nasza Mania zostanie nam widocznie na karku.... Już kończy trzydzieści, a nikt się o nią nie zgłasza!

Matka: — To nie jest jej wstyd, mój drogi.... Ona by już dawno była poszła za mąż, żeby ją był kto wziął!

U bram niebieskich. Święty Piotr mówi do nowo przybyłej duszy: — Pójdź, pójdź, kochaneńku!... Zastaniesz tam w raju wszystkie trzy twoje nieboszczki żony.

Wdowiec: — Jezus Marya!... Wszystkie trzy?... E... wiesz co, święty Piotrze? Ja zapomniałem jednej ważnej rzeczy na ziemi.... Ja... ja tu przyjdę jutro! Całuję rączki! (zmyka).

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.